

Agata Nowak

Godło: Gołąb

Tango

Odkąd pamiętam, mówienie przychodziło mi z trudem. Dotkliwie odczuwałem nieudolność słów wobec świata. Były zbyt dookreślone, śmieszne w swych wysiłkach, by w formie zmieścić treść. Nic nie mogłem więc poradzić, że mówiąc, czułem się, jakbym kłamał. Słowa napawały mnie lękiem, robiłem zatem uniki, licząc, że jeśli przeczekam natarcie, rozproszą się znudzone oczekiwaniem. Nie tak łatwo jednak przechytrzyć słowa, zwłaszcza gdy rodzą się z bólu. Te były najcierpliwsze. Czasem myślałem, że znikną, a one podążały za mną jak zjawy, niewidzialne, lecz przeszywająco obecne. „Masz szczęście - mówili mi - wojnę przeżyłeś”. A ja żywe miałem jedynie ciało, którego w pół martwy duch ledwo się trzymał. Zapadałem się w siebie i całkiem byłbym wariat, gdyby w porę nie ocalił mnie saksofon. Muzyka lepiała szczeliny pozostawiane przez język. Melodie wyływały z duszy jak ze źródła, porywając ze sobą to, czego nie potrafiłem nawet nazwać, a co dopiero wypowiedzieć.

Lubili mnie w zespole. Nie byłem wodzirejem, to mówić tyle nie musiałem. A był u nas taki Zbyszek, gadał trzy po trzy, że i po kieliszku ciężko było słuchać. Tłum jednak śmiał

się i bił brawo, aż ręce bolały. Zazdrościłem mu nieraz, że sam tak nie potrafię, skoro wystarczy byle co, ale za to dużo, wesoło, a i jeszcze najlepiej sprośnie. O, sprośne żarty największym uznaniem się cieszyły, a im kto wyżej i bardziej polityczny, tym głośniej się śmiał.

- Zdrowie towarzysza! - wykrzykiwali, polewając Zbyszkowi. To było nie raz, że spił się i śpiewać już nie było komu, ale i to nie bardzo im przeszkadzało, bo w taką porę wódka rozwiązywała język, lecz związywała nogi i nie było już z nich w tańcu pożytku. Za to ręce, chcąc zadośćuczynić za tę niedyspozycję, pracowały podwójnie.

- Za Polskę Ludową! Za robotników! Za kapelę! - Pili ofiarnie, jakby zdrowie zaklinali w kieliszku. I kto wie, może jakby pić przestali, dostrzegliby marność człowieka wobec słów, słów wobec życia, życia wobec losu i całkiem by im przeszła ochota na taki świat. To chociaż tyle, że do picia ją mieli. A że cichy byłem, to, jakby na przekór, najgłośniejsze toasty wznosili za mnie. Jeden szczególnie zapadł mi w pamięć.

- Za saksofon pijemy! Połać, chłopaki! - krzyknął prezes, uderzając pięścią w stół, aż kieliszki podskoczyły.

Do wódki byłem jednak tak niechętny jak do słów. Piłem rzadko i raczej z grzeczności, żeby mi który w mordę nie dał albo nie zgłosił do zakładu jako niepewny element. Nie należałem do tych, co mieliby siłę przeciwstawić się światu, pozwalałem, by życie przepływało przeze mnie. I choć nie

parłem pod prąd, porwać mu się też nie dałem, a przeczuwałem, że wódka jest z nurtem w komitywie.

- Napij się, lżej ci będzie - zachęcali. - Nie tak łatwo w tych czasach o pół litra.

- W domu, to siedź o suchym pysku, ale tu w towarzystwie jesteś, to po towarzysku się zachowuj.

Chciałem jakoś się wykręcić, ale bezradność wobec języka dała o sobie znać po raz kolejny.

- Ja wypiję za towarzysza - zza pleców dobiegł mnie kobiecy głos. - Za saksofon! - Jednym haustem opróżniła kieliszek i przysiadła się do nas. Zagadywała wszystkich to o gitarę, to o pianino, to znowu o życie w zakładzie. Tylko mnie jednego jej pytania omijały. Uparcie nie skierowała do mnie ani słowa. Chłopcy opowiadali, a ona dziwiła się, chwaliła ich, a czasem strofowała niby obrażona, kiedy przesadzili z komplementami. Nie była już wprawdzie młoda, jednak roztaczała wokół siebie aurę żywotności, która odejmowała jej przynajmniej kilka lat. Śmiała się z żartów, nawet tych w złym guście, i to śmiechem tak dźwięcznym i czystym, jakby ktoś metalem uderzał w kryształ. Usta gotowe były rozdawać uśmiechy, dla jednych uwodzicielskie, dla drugich, tak jak dla mnie, jedynie serdeczne. Im więcej zadawała pytań, tym bardziej odnosiłem wrażenie, że wcale nie czeka na odpowiedź, jakby słowa miały służyć jej jedynie za tarczę. I choć nie przestawała

mówić, o sobie nie powiedziała prawie nic. Gdy tylko temat schodził na jej przeszłość, od razu obracała wszystko żart.

- Ach, panie taki czy owaki... Ale kiedy to było? Lata lecą, że pamięci ciężko nadążyć.

Rozmowa płynęła, a wódka napędzała ją jak woda młyńskie koło. Każda kolejka uwalniała nowe słowa, te jednak wymykały się spod skrzętnej kurateli kobiety jak niegrzeczne dzieci, uciekające z domu oknem, gdy zarygluje się drzwi.

- Och, ma pan taki piękny garnitur! - wyrwało się jej do naszego pianisty. - Jak skrojony równo! Miał rękę, kto go szył, od razu widać. Ja też kiedyś szyłam, z tym że mundury... Ale to dawno było, w wojnę jeszcze, nie wiem, czy teraz bym umiała. Jakie też znowu to były mundury. Wyglądali w nich, jakby nie po zwycięstwo szli, a po łzy jedynie. Z kawałków szmat uszyte, a jakby z samego nieszczęścia. Nitki się pruły, kanty krzywe, jeden rękaw krótszy od drugiego. Skrojone na mężczyzn, a na chłopcach leżały, to co się dziwić, że wyglądali w nich jak strachy na wróble. Choć w taki czas to już lepiej być strachem niż człowiekiem. A już najlepiej to może i wróblem. Mundur nie miał litości dla ich chłopięcych lat i szybko zmieniał ich w mężczyzn, jednak jeszcze surowsza była ziemia. Trzeba było ją zdobyć, dbać o nią, uprawiać, ale i to jej było mało. Na ich życie zachłanna, chciała, żeby za nią umierać. To chociaż tyle była łaskawa, że kiedy wyciągała po nich ręce, była już im tą lekką i obiecaną. Tylko matkom

jawiła się ziemia przeklętą, gdy synów musiały jej oddawać. Płakały, jak umierali, płakały, jak uciekali, a kiedy wracali, to płakały może najbardziej. A jak nie było już komu płakać, to płakałam choćby ja. Wie pan, pytali mnie czasem, czy im zdjęcie dam na drogę. A kilku nawet prosiło „czekaj na mnie, jak wrócę, to się ożenimy. Dom ci zbuduję, piękny, z werandą, a w niedziele będziemy chodzić na tańce”. Mówiłam, że zaczekam, i że z tańców to najbardziej tango lubię, niech tylko wrócą i ani mi się ważą umierać. I śmiałam się, żeby chociaż z tym śmiechem mogli w świat ruszyć.

Zaśmiała się i teraz, choć gorzko, a stolik ogarnęła cisza. Rozejrzała się dookoła i chyba dopiero wtedy poczuła ciężar wypowiedzianych przed chwilą słów. Żaden był ze mnie dżentelmen, ale chciałem ulżyć jej jakoś, rzuciłem więc, siłąc się na energię:

- To co, panowie? Po kolejce? - Połałem wódkę, nie dając im czasu na odmowę. Podali kieliszek i jej. - Ja wypiję za koleżankę. Jestem jej dłużny - odpowiedziałem, opróżniając szkło.

- Przepraszam panów, muszę się przewietrzyć - powiedziała, podnosząc się z miejsca.

Głowy kolegów nie miały już siły, by walczyć z grawitacją, i towarzystwo przy stoliku zaczęło się przerzedzać. W końcu Zbyszek rzucił od niechcienia.

- To co, wracamy na scenę?

- Grajcie, zaraz dołączę - odpowiedziałem.

Poczułem chęć, by ją dogonić, a rzadko zdarzało mi się jeszcze czegoś chcieć. Mimo że grałem na setkach innych różnych zabaw, na których bywały setki innych różnych kobiet, znacznie młodszych, piękniejszych i ciekawszych, ja pragnąłem wyjść właśnie za tą. Nawet nie rozmawialiśmy, brak słów nie jest jednak tym samym co milczenie, a ona, wiedziałem to, milczała do mnie. Miałem wrażenie, że te niewypowiedziane słowa wnikają we mnie, a tam gęstnieją, rosną, zapuszczają korzenie, dotykając zepchniętych w niepamięć wspomnień. I choć połączyło nas milczenie, u mnie przypominało ono czarną dziurę, która pochłania wszystko w swym zasięgu, a u niej manifestowało się w małych-wielkich wybuchach. Toteż nie zdziwiło mnie, gdy odnalazłem ją, wirującą między drzewami z piosenką na ustach. Jej dłoń zawieszona była w powietrzu, a głowa opadała w bok, opierając się na niewidzialnym ramieniu. Obcasy stukały w rytmie tanga, raniąc świeżo pościeloną śniegiem ziemię.

*Zamieńmy się ustami
ja tobie dam czerwone
Rozcięte krzykiem szczęścia,
gorące i spragnione*

- Jeszcze jeden? Dobrze, ale tylko dla pana - mówiła do siebie. - Proszę przestać, bo się rumienię - zachichotała. Przestała, dopiero gdy śnieżna zaspą porwała jej ze stopy pantofel. Zaśmiała się jak dziecko. Zobaczywszy mnie, zastygła w bezruchu jak spłoszona sarna, jednak zamiast uciec, rzuciła zadziornie:

- A pan co tak patrzy? Z zabawą musi być pan obeznany. Godzi się tak podglądać?

- Przepraszam - odpartem zakłopotany.

- Pewnie ma mnie pan za wariatkę?

- Nie - zaprzeczyłem nieśmiało.

- A jakby nawet pan miał, to nie szkodzi. Życie jednych zniszczy, drugich znieczuli, a z innych robi wariatów. To wolę już być wariatką.

- To nie ma innych opcji?

- A zna pan jakieś?

- Nie uważam pani za wariatkę.

- To czemu się pan tak gapi?

- Po prostu... Lubię to tango...

- Zna je pan? Bo nie pamiętam, jak dalej szło. Próbowałam sobie przypomnieć, ale cały czas tylko te usta mi przychodzą do głowy. Ach, co to za tango! A jaki tekst piękny!

Zaśmiałem się i zaśpiewałem jej:

Cóż ci po tych słowach kochana

*Cóż ci po tej małej piosence
Śliczna to co prawda zamiana
Lecz to jednak słowa i nic więcej*

- Kiedy czasem tylko słowa zostają. Tylko piosenki. Bywa, że mi się już przykrzy ten świat, ale wystarczy kilka nut tanga, a nogi same się rwą do tańca i to od tych nóg mi wraca chęć życia. Jakby chciały mi przypomnieć, że mogą istnieć równoległe światy, w których tańczy się co wieczór, i że można je przywołać, choćby tylko na chwilę i to jeszcze złudną. Ale dla piękna warto żyć choćby i złudzeniem.- Na jej twarzy malował się smutek, mimo tego uśmiechnęła się szczerze - Nie wiem, czy umiałabym bez tego żyć. A jeśli świat... - urwała - No cóż! Przynajmniej mogę tańczyć i śpiewać tanga!

Przejęła mnie zapalczywość, z jaką mówiła mi o tym wszystkim. Kobieta, która teraz na powrót stała się dziewczyną, przymknęła oczy i znów oddała się tańcu, nie zwracając już na mnie uwagi. Wojna musiała zrobić jej nie mniejszą krzywdę niż mnie, ale nie pokonała jej. Zdołała się ocalić. Wzruszyło mnie, jak silny, jak piękny jest człowiek i chciałem powiedzieć jej o tym, jednak nie wiedziałem jak. Pomyślałem, że saksofon będzie wiedział. Nie jestem już nawet pewny, czy bardziej dla niej, czy może dla siebie, powiedziałem w końcu:

- Proszę wejść do środka. Zostało mi jeszcze jedno tango do zagrania.